

# TYGODNIK ILLUSTROWANY.



**N<sup>o</sup> 173.**

*Prenumerata w Warszawie:*  
Rocznie r. 8, półrocznie r. 4, kwartalnie r. 2  
miesięcznie kop. 67 i pół.

**Warszawa, 17 stycznia 1863 r.**

*Prenumerata na prowincyi w Cesarstwie:*  
Rocznie r. 12, półrocznie r. 6, kwartalnie r. 3.  
Koperta oddzielna 2 r. rocznie.

**TOM VII.**

### TREŚĆ NUMERU.

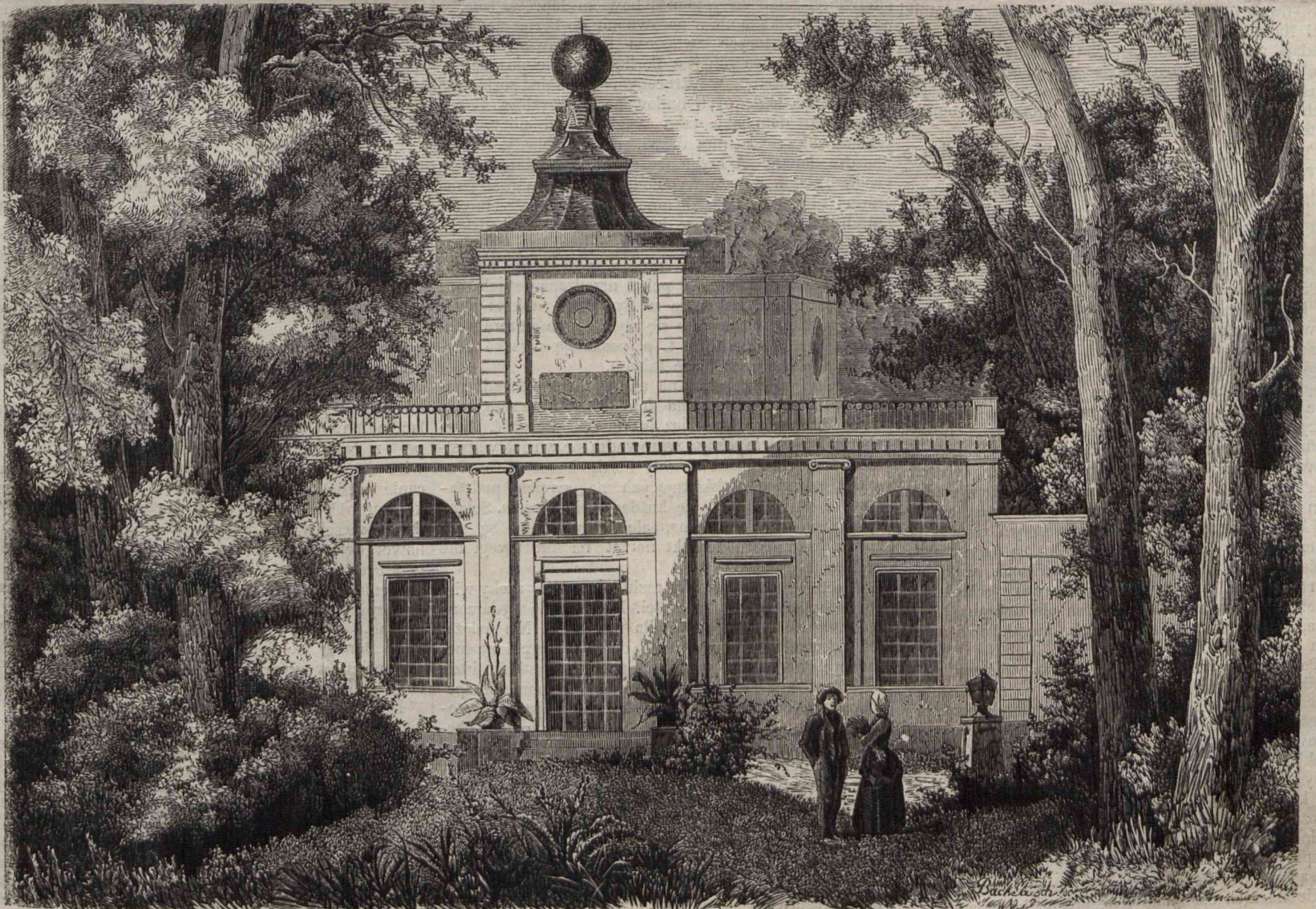
Pałac w Jabłonie (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Pustelnik (z drzeworytem). — Kościół Panny Maryi w Cwikowie (Zwickau) i grób Chrystusowy w tym kościele (z czterema drzeworytami). — Tomasz Ostrowski (dokończenie). — Przegląd polityki zagranicznej. — Korrespondencya od redakcyi. — Inna gospodarstwa multanska (dokończenie). — Szachy i rebus.

### PAŁAC W JABŁONIE.

W oddalonych nieco okolicach Warszawy leży

piękna wieś Jabłonna na prawym brzegu Wisły, o dwie mile za rogatkami pragskimi. Od wieków była to własność biskupów płockich, których dyceceza już od Pragi się rozpoczynała, kiedy Warszawa należała do dycecezy poznańskiej. Pasterze płocki mieli tu nawet swoją letnią rezydencyą, a z powodu bliskości stolicy lub w czasie sejmów często w niej mieszkali. Najgłośniejszym w dziejach i najdłuższym

był tu pobyt Karola Ferdynanda, królewicza polskiego, 63 z kolei biskupa płockiego, gdy po zgonie Władysława IV ubiegał się z bratem swoim Janem Kazimierzem o koronę polską. W czasie tego nieszczęśliwego bezkrólewia biskup pretendent, któremu według przepisów prawa nie wolno było zbliżyć się do stolicy, z Jabłony kierował stronnictwa swego obrota-  
tami, a gdy te nie powiodły się, przeniósł się ztąd do



PAŁAC W JABŁONIE. (Rysował z natury Fabijański).

## Kronika tygodniowa.

Wrocławia i tam umarł w r. 1655, podczas toczącej się wojny szwedzkiej.

Następcy jego na katedrę przebywali także często w Jabłonie, w roku zaś 1773 Michał książę Poniatowski, rodzony brat króla Stanisława, zostawszy po Hieronimie Szeptyckim biskupem płockim, nabył od kapituły Jabłonnej na swoją dziedziczną własność. A że to był wielki miłośnik budownictwa i ogrodów, jego więc staraniem sprostowane tutaj zostały drogi, stały we wsi porządne budynki dla włościan i on założył istniejący dotąd piękny ogród, który przyozdobił rzadkimi krzewami i drzewami. Książę Michał, zostawszy arcybiskupem i prymasem rzeszypolitej, nie zapomniał o Jabłonie, a upiększając ją ciągle, rozpoczął nawet budowę pałacu, gdy nagle śmierć dalsze jego roboty przerwała.

Książę Józef Poniatowski, po stryju swoim odziedziczywszy Jabłonnę, wnet pałac podług pierwotnego planu dokończył i odpowiednio upodobaniu swemu ozdobił i urządził. Kiedy zaś po ostatnich wojnach przy końcu zeszłego stulecia, już za rządów pruskich, wrócił do kraju, obrał sobie na mieszkanie wraz z siostrą zamężną hrabiną Tyszkiewiczową w ziemie pałac pod blachą w Warszawie, a w lecie pałacyk w Jabłonie. Były też to najświetniejsze czasy dla tych miejsc, gdyż oba stęły w stolicy zgromadzeniem się w nich tego wszystkiego, co się zwało modnym, wytwornym i dawało ton całemu wyższemu towarzystwu. Tu powstało głośne wówczas grono zwolenników Pepiady, otaczające ukochanego księcia, tak zwane od skróconego po angielsku imienia Pepi (Józef). Było ono utworzone na wzór niby Albeńczyków księcia Radziwiłła panie kochanku, a dla odznaczenia się nosiło oddzielny mundur przyjacielski, zielony ze złotymi guzikami, na których był wyobrażony konik. Kto nie był zapraszany do Jabłony i nie należał do wybranych zwykle tam bawiących gości, ten nie mógł rościć sobie prawa do dobrego tonu. Cały ten świat ówczesny, nowy, ruchliwy, modny, w obyczajach i mowie francuzki, którego głównym zadaniem były uciechy i zabawy, zgromadzał się w Jabłonie i najweselsze tam spędzał chwile. W owych to salonach pod blachą i w pałacyku Jabłonna rządziła samowładnie sławna emigrantka francuzka pani de Vauban, o której wpływie na usposobienie wyższego warszawskiego społeczeństwa i rozszerzeniu za jej przyczyną gustu do wszystkiego co było francuzkie, tyle nam współczesne pamiętniki pani Nakwaskiej i wyborne pamiętniki Seglisa opowiadają. Ale wypadki następne i koleje losów kraju położyły temu koniec. Waleczny książę wrócił do właściwszego sobie zawodu, a po świetnych wojennych czynach, zginął śmiercią bohaterską w nurtach Elstery.

Po nim Jabłonna stała się własnością jego siostry, która długi jeszcze czas z upodobaniem tutaj mieszkała i piękny pałacyk niemało przyozdobiła. Wreszcie od hrabiny Tyszkiewiczowej, później hrabiny Potockiej, przeszła w spadku do syna jej hr. Maurycyego Potockiego, w którego posiadaniu dotąd zostaje i do dziś dnia z całą starannością jest utrzymywana.

Pałacyk w Jabłonie stawiał Dominik Merlini, sławny budowniczy za Stanisława Augusta. Gmach to niewielki, ale przyjemnych rozmiarów, gustowny, składny i na wzór włoskich will wzniesiony. Pod względem wspomnień i pamiątek jest on tém dla księcia Józefa, czém Wilanów, w obszerniejszym wprawdzie znaczeniu, dla Sobieskiego. Jak tam tak i tu wszystko przypomina znakomitego naszych czasów wodza i z poszanowaniem jest po nim zachowane. I owa wspaniała sala balowa, widownia tyłu głośnych zabaw, i sprząty jego, mały klawikord na którym grywał, galeryja otwarta dla orkiestry, co niegdyś tak hucznie przygrywała wesołym pługom Pepińczyków, a nawet mała kanapka na której wyłącznie siadywał. Pokazują tu parawan wyklejony w różnorodne figury, wzory i wizerunki, ręką księcia Józefa. Jest jeszcze niezbyt liczna ale dobrana biblioteka, zbiór starożytności, modeli, posążków i wielu tym podobnych zabytków.

Po księciu prymasie została kaplica pałacowa, z kłęcznikiem na którym się modlił; zaś po przedostatniej dziedzicze piękna sala chińska i wspaniała park, przy wjeździe do którego umieszczono dwie kolumny granitowe, pochodzące z zamku wielkich mistrzów krzyżackich w Malborgu z XIII wieku, w którym podpierały sklepienia ich komnat. Gdy zamek ten z rozkazu króla Fryderyka Wielkiego przerobiono na skład zboża, wyjęte zostały te dwie kolumny i sprzedane jednemu z kupców w Malborgu, od niego zaś nabyte i sprowadzone w r. 1827 do Jabłony, gdzie miejsce posągów wielkiego mistrza i komtura krzyżackiego, jakie na nich stać miały, zastąpiono latarniami.

Wyczytałem w gazetach dwie wiadomości. Pierwsza, że jakieś kamienice we Lwowie zawały się, a wypadek ten stał się przyczyną śmierci kilkunastu ludzi.

Druga, że skończono w tych czasach odnowienie kościoła katedralnego Panny Maryi w Paryżu. Sprawodawca przy tej okoliczności słuszną czyni uwagę, że odnawianie starożytnych pomników niemało przedstawia trudności. Nieraz przy głębokiej nawet nauce i usilnej pracy, restauracja zacięra piętno wieków, które największą jest ozdobą i wartością pomnika. Mech i pył kilkusetletni często więcej zdoła, niż najstaranniejsze oczyszczania.

Owóż, spytacie mnie, w czém zawalenie się kamienic we Lwowie i odnowienie kościoła Panny Maryi w Paryżu dotyczyć mogą miejscowego sprawozdania? W wielu punktach.

I tak przedewszystkiém, Warszawa nie odznacza się owém barbarzyństwem archeologiczném, które innym miastom przypisują. Pył wieków, a raczej lat, bardzo starannie przechowuje się u nas. Na najgłośniejszych ulicach miasta widzimy kamienice pobrudzone, obdrapane, na których dziesięcioletnie błoto niezatarte zostawiło ślady. Barwa pierwotna ich murów znikła zupełnie, jak barwa ubrania z poszarpanych łachmanów żebraka ulicznego; rynnny idące przez całą długość domów przy najmniejszym dęszcu albo roztopie stają się dowiecipnemi maszynami, pod któremi stojąc można do syta używać prysznicy kąpieli; a na dachach tworzą się zbiory ramowisk, które przy lada wietrze zagrażają głowom nieopatrznych przechodniów.

Zewnętrzna postać tych domów słabem jest tylko odbiciem wewnętrznej ich doskonałości. Ciekawa rzecz żeby też kto chciał zliczyć, ile to schodów w Warszawie jest oświetlonych, ile niezabłoconych podwórek, ile sieni utrzymywanych w czystości. Kto ma piec niedymiący, ten powinien pomnik wystawić gospodarzowi; komu wilgoć nie występuje na ściany, ten niech się uważa za uprzywilejowanego jakiegoś szczęśliwca, któremu daném jest w życiu na różach tylko spożywać. O innych rozmaitych wygodach nie mówimy, zadalekoby to nas bowiem zaprowadziło.

Ale wszystko to nic w porównaniu do bezpieczeństwa budowy niektórych zwłaszcza nowostawianych domów. Warszawa nie jest Berlinem, gdzie po sumiennym sprawdzeniu, w skróconym terminie rozbięrają domy z niedokładnych budowane materiałów. U nas byle tylko dom jako tako wyglądał od ulicy, byle znajdowały się w nim drzwi, okna i schody, to już bardzo dobrze. A czy mury grube, czy cienkie, czy cegła źle lub dobrze wypalona, czy dla większej taniości nie oszczędziło się mnóstwa rzeczy potrzebnych, niezbędnych nawet, w to już nikomu nie wchodzi.

Więc też mamy domy w Warszawie, które niedość że czule są na wszelkie zmiany powietrza, niedość że większa w nich część pokoi urządzona jest jak owo sławne ucho Dyonizjusza w Syrakuzie, tak iż przez ścianę każdy wyraz daje się słyszeć, ale jeszcze ściany te, piece, posadzki i t. p. posiadają wysoko udoskonalone choreograficzne talenta.

Niechaj powóz jedzie na ulicy, niech ktobądź puka do bramy, niechaj na dole drzwi zatrzasną, cały dom się trzęsie, jakby już już miał się rozpaść. Przechodząc środkami pokoju, wprowadza się w ruch wszystkie sprzęty, co stanowi miły bardzo koncert bronzów, szkieł, porcelan podskakujących na swoich podstawach i odzywających się każde swoim głosem. Ściany rysują się, sufit się ugina, ale wszystko to są tak zwyczajne rzeczy, że nikt nawet na nie uwagi nie zwraca.

A jednak życie ludzkie zasługuje na to, ażeby więcej poświęcano mu bacności. Nieszczęście wydarzone we Lwowie powinno być dla nas nauką. Nie należałoby dozwalać budować tych domów wprost na spekulację stawianych, w których przedewszystkiém idzie o oszczędzenie czasu i pieniędzy, a przysporzenie spekulantowi ile możności największego procentu od stosunkowo małego kapitału. Bo i o co tym panom chodzi? Stawiają domy podług nowo używanej metody, to jest dzieląc je na jaknajwiększą liczbę pokojów, oznaczają wysokie komorne, a w mieście tak ludném jak Warszawa, znajdują się zawsze chętni lokatorzy. Potém w rok albo dwa dom taki, przynoszący wielki procent, sprzedaje się bardzo korzystnie. Mniejsza o to czy on długo stać będzie, byleby dużo naraz przynosił dochodu. Z pewnością przewidzieć można, że nowostawiane budowle nie doczekają się tak sędziwego wieku, jak domy stawiane przez naszych oj-

ców. Wówczas każdy liczył na lata, dziś na dnię każdy liczy.

Pomiędzy kilkoma korespondencyami nadesłanemi nam w bieżącym tygodniu, otrzymaliśmy odezwę Łęczycanina, który za pośrednictwem naszym wnosi zażalenie na niesłuszny przesąd przesładujący dotychczas mieszkańców jego okolicy.

Jestem prawowiernym Łęczycaninem, pisze on, przynajmniej od lat 44tu w Łęczycy zamieszkałym. Ztąd ile razy zdarzyło mi się uczynić wycieczkę winne powiaty, zawsze tam bywałem przesładowany, z powodu głośno słynącej pijackiej sławy mych współobywateli.

I rzeczywiście, gdzie się tylko pokazał nieszczęśliwy ów spadkobierca szerokogardłowych przodków, wszędzie przed nim stawiano butelkę za butelką, wywlekano z kryjówek kwartowe kielichy i zmuszano go do wypijania podwójnych toastów, pod tym niby pozorem, że każdy Łęczycanin powinien z prawa i obowiązku dwa razy tyle pić, niż mieszkańcy innych ziem polskich.

I korespondent nasz znosił to cierpliwie, dopóki jedna kropla, a raczej jedna szklanka więcej nie przebrała miary. Sądził on że tylko w sąsiadujących z Łęczycą powiatach przesąd ten trwa w całej sile. Na nieszczęście bawiąc w tych dniach w Warszawie, zaszedł z kilką znajomymi do tutejszej kawiarni, gdzie kazano dać kilka szklanek ponczu. Uprzejma gospodyni sama go przyniosła, wychwalając jego dobroć i łagodność.

— No że dobry, nie wątpię o tém, odezwał się jeden z gości, ale wątpię czy drugi jego przymiot jednemu z nas się spodoba.

— A to dlaczego?

— Ten pan oto jest Łęczycanin.

— Czy podobna? zawołała gospodyni, uderzając się w czoło. A ja niedorzeczna zrobiłam poncz na winie. Przepraszam pana, po tysiąc razy przepraszam, mówiła dalej, odwracając się do naszego korespondenta; to nie dla pana, to za słabe, za lekkie. Zaraz zrobię panu ponczyk na starym araku, dodam trochę koniaku, dżynu angielskiego i mocnych korzeni, a spodziewam się że pan odejdziesz ztąd zadowolony i nie będziesz obmawiał mojego zakładu, że nie umie uszanować takich jak pan gości.

I to mówiąc, pomimo opozycji biednego Łęczycanina, odebrała od niego szklankę z ponczem, z której już pić zaczęła, i w kilka minut przyniosła w innej szklance napój, z którego sam już prawie zapach był w stanie pozbawić przytomności człowieka niebardzo do mocnych trunków wprawnego. I trzeba mu było chęć nie chcąc wypić tę mieszankę, na którąby może jaki stary kapitan okrętowy angielski pokreślił głową.

Owóż korespondent nasz, przyprowadzony do ostateczności tą gościnnością gospodyni kawiarni warszawskiej, użala się na niesprawiedliwą opinią, przesładującą dziś jeszcze Łęczycan za przodków grzechy. Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr, mówi dawne przysłowie, a dla Łęczycan jakoś zawsze stoi otwarte conto.

Że mieszkańcy Łęczycy pili kiedyś dobrze, to nie tajemnica; ale mieli też do tego bardzo ważny powód. Miasto Łęczycę, niegdys warowne, murem i fossą otoczone, z jędejki tylko zachodniej strony miało wolny przystęp. Mury te i fossy ze wszech stron oblewała woda. Nie tak jeszcze dawno o kilka kroków po za miastem bekasy, kaczkę i inne ptastwo wodne strzelać można było; słowem była to Anglia na małą stopę, z całą swoją wspaniałą atmosferą. Jakże się więc dziwić, że na podobieństwo Anglików, Łęczycanie musieli szukać ratunku w mocnych trunkach? konieczność zachowania zdrowia wymagała tego. Ale dzisiaj wyschły już fossy, jeziora i stawy; zasypano nawet ową studnię około kościoła oo. bernardynów, w której szlachta w czasie sejmików wodę na poncz zamieniała. Ustały też i dawne pijatki, a podtrzymująca starą sławę łęczycyckich pijaków albo powymierali, albo się w inne poprzynosili strony. Nawet stary Boruta nie daje już znać o sobie i nie ma komu psikusów wyprawiać, bo drogi poprawione i mało już pijanych napotkać tam można.

Łęczyckie, jak wiadomo, ojczyzną jest Boruty, i niemało tam o nim skazek i podań krąży. Kiedy przed wiekami wznoszono tu dawną kolegiatę, dzisiejszy parafialny kościół, drażniło to Borutę, że tak pod jego bokiem staje dom Boży w całej chwale swojej. Więc też jak tylko mógł przeszkadzał robocie: straszny ludzi, podkopywał rusztowania, obalał święto wzniesione wiazania i mury. Nie to jednak nie pomogło: wytrwałość ludu Bożego przetrzymała siłę czarotowską, i po kilkunastu latach budowy stanęła okazała świątynia Pańska. Wtedy Boruta podczas ciemnej i dżdżystej nocy wylazł z błota, wsunął się

## PUSTELNIK(\*)

ukradkiem do miasta i podszedłszy ku narożnej wieży, objął ją potężną łapą, próbując czy jej nie obali. Ale wieża oparła się usiłowaniu diabła, tylko ślad łapy Boruty pozostał na murze i po dziś dzień można go jeszcze widzieć o kilka lokci od fundamentu.

Jednakowoż Boruta nie dał za wygraną i ukryty w lochach, czekał chwili sposobnej do zemsty, jeżeli nie nad świątynią, to przynajmniej nad tymi co ją obsługiwali. I zdarzyło się że jeden z kanoników kolegiaty łęczyckiej, zaproszony na imieniny do sąsiada, nie chcąc dla zabawy zaniedbywać służby Bożej, rano przed wyjazdem odmówił razem południowe i nieszporne modlitwy.

I kiedy rano wyjeżdża z miasta, na grobli spotyka jakiegoś szlachcica, z czupurną a buńczuczną miną, z zawieszonym wąsem, z karabelą u boku, który pomimo przypiekającego już dobrze słońca, zdjawszy czapkę i odstoniwszy czuprynę, kłania mu się zdaleka.

Był to Boruta.

— Dobry wieczór księdu dobrodziejowi, dobry wieczór, woła, machając na prawo i na lewo czapką, kiedy bryczka księcia tuż koło niego przejeżdżała.

— Mylisz się waszmość, odpowiedział zdziwiony kanonik, toż to przecie jeszcze nie wieczór, wszak niedawno słońce wzeszło.

— A ja myślę że to wieczór, odpowiedział szyderskim głosem Boruta, kiedy już po niesporach.

I zaśmiał się szatańsko, dał nurka w błocie.

Ale dość o Borucie i o Łęczycy; wołę powiedzieli parę słów o pp. Merzbachu i Pollaku, lubo ci z Borutą żadnej nie mają styczności. Wydali oni w tych dniach nakładem swoim bardzo praktyczną i użyteczną książeczkę, pod tytułem *Modlitwy i nauki dla ludu wiejskiego*, napisane przez Stacha Dworaka. Modlitwy tam zawarte wypowiedziane są prosto i szczerze, a idą do serca, to wszystko czego wymagać można od dzieła podobnego rodzaju. Otrzymaliśmy także w tych dniach *Listki*, zbiorek poezji przez Aleksandra Kraushara, znanego z utworów poetycznych w Jutrzence zamieszczanych. W poezjach tych przebija talent, chociaż forma niewszędzie równie udatna. Pierwszy jednak początek zawsze trudny, i jako taki ze współzuciem przyjęty być winien, dziś zwłaszcza, kiedy tak mało utworów poetyckich wydobywa się na świat.

Jeden z naszych korespondentów wspomina o odezwie Towarzystwa naukowego krakowskiego do mecenasów piśmiennictwa krajowego i księgarzy nakładców, dotyczącej wydania katalogu wystawy bytków sztuki i przeszłości w r. 1858 urzędzonej w Krakowie. Przedmiot to zasługujący ze wszech miar na bliższą uwagę; bezpośrednio bowiem obchodzi on ogół miłośników sztuki i archeologii krajowej, pośrednio zaś kraj cały, którego przeszłość w wystawie była uwidomiona.

Smutnym byłoby żeby pomiędzy tylu zamożnymi obywatelami u nas, nie znalazł się ktoś, coby chciał i mógł podjąć się wydania tak użytecznego dzieła. Wprawdzie na określoną tylko liczbę nabywców rachować ono może; ale publiczność, obeznana z trudnościami tego rodzaju przedsięwzięcia, nie jako spekulacją księgarską, ale jako zasługę dla kraju cenić je będzie. Nadto Towarzystwo naukowe krakowskie w odezwie swojej czyni wzmiankę, iż dla ozdoby wydania odda bezpłatnie 15 sztuk drzeworytów, w wie-deńskie nadworne ksylografii starannie wykonanych. Te drzeworyty niejednemu stałyby się zachętą do zaprenumerowania dzieła.

Wprawdzie u nas wielu jest chętnych orędowników sztuki i piśmiennictwa, ale pod tym warunkiem, żeby orędownictwo to dużo przynosiło rozgłosu, a mało kosztu. Lepsi jednak chociaż tacy nawet, co to przynajmniej na opinię publiczną się oglądają i starają się zdobyć ją małym jakimś poświęceniem, aniżeli tacy, (a tych jest znaczna część) którzy myślą tylko o lokowaniu pieniędzy na bankach zagranicznych i o ciągłym przyroście kapitałów, zrzucający z siebie wszelką solidarność z ogółem. Do tych nasze słowa nie dojdą, nie czytają oni bowiem po polsku; ale dojdzie do nich może kiedyś głos ogółu, odrzucającego od siebie wstrętne jednostki.

Zgadnijcie jaką propozycją czyni mi jeden z naszych korespondentów. Oto odsyła mnie on na Powązki. Dobrze przynajmniej że przystaje jeszcze na to udogodnienie, iż dozwala mi udać się tam nie karawanem, ale dorozką, a to dla odczytania i przytoczenia wam tu wiersza napisanego ołówkiem na grobowcu jednego ze zmarłych naszych najulubieńszych artystów. Dotychczas nie mogłem jeszcze się zdobyć na tę grobową podróż, ale zamierzam i to jeszcze poświęcenie uczynić dla was, a jeżeli wiersz, jak to korespondent zaręcza, zasługuje na wzmiankę, przytoczę go w kronice.

..... — I jak dawno, ojcze, osiadłeś w tej pustelni? zapytałem.

— O, jeszcze wówczas nie trzęsły mi się ręce tak jak teraz, że zaledwie w nich rydel utrzymać zdołam, a lata nie wyłobily jeszcze na mojem czole tych szerokich bruzd, które dziś na niem widzisz. Niemłody już byłem, ale silny jeszcze, gibki, wytrzymały. O! powietrze gór, powietrze gór! To prawdziwe życie człowieka, to swoboda! Sąsiedztwo płaszczyn zabija.

— Płaszczyny? tu? rzekłem z zadziwieniem. A wszakże to jedno z najwynioslejszych miejsc naszej okolicy. Wioski i ludzie pod nami. Zaledwie strzelec tu zabłądzi, goniąc za zwierzyną.

— Młodzieńcze, mówisz o górach, odpowiedział pustelnik uśmiechając się smutnie. Góry tu—to pagórki zaledwie. Jeżeli chcesz widzieć góry, góry prawdziwe, podąż drogą do Dagsbergu. Ztamąd zejdziesz do Nideck, do Haslach, i tam spojrzysz się na Saint Dié, na Gerardmer. Tam to ujrzyś góry, bory, ciągle, bezustanne bory, skały, jeziora i przepaście.

Mówią że teraz przez szczyt Honecku wygodna droga prowadzi; chciałbym wierzyć temu, ale trudno mi jakoś pogodzić się z tą wiarą. Szczyt Honecku wzniesiony jest na pięć tysięcy stóp nad poziom morza, śnieg tam dopiero w lipcu topnieć zaczyna, a spadzistość góry pokryta jest ogromnymi czarnymi skałami, w rozpadlinach których wyrastają stuletnie sosny, wyglądające z dołu jak drobne krzaczki. Ztamąd widzisz jak na dłoni całą dolinę Alzacyi, Ren, Alpy berneńskie na stronie Niemiec—na stronie zaś Francyi jeziora Retournemer, Longemer i góry.... góry bez końca.

O, ileż to się napolowałem w tych pięknych okolicach!... I leż tam w tych górskich zarosłach ubiłem zajęcy, sarn, dzików; ileż tam kun i żbików legło pod moimi strzałami; a w tych jeziorach znów jakże obfity pólów pstrągów! Znano mnie tam wszędzie, od Houpe do Schürmeck, od Münster do Gerardmer. „Oto Henryk, mawiano, niesie na plecach wiązki skór i kwicołów.“ I robiono mi miejsce przy stole, stawiano przedemną bochenek chleba prosto z pieca wyjętego, i sér z aromatycznego mleka krów górskich, i cynowy kubek napelnięny białym alzackim winem. A usługiwały mi żwawe dziewczęta, z rumianymi policzkami, z błyszczącym okiem, z ustami czerwonymi jak wiśnie; starzy zaś ściskali mnie za rękę, pytając:

— A co, Henryku? Czy można zacząć kosić, czy pogoda posłuży?... Jak radzisz? wypędzić dziś bydło w góry, albo nie?

A gospodynie stawały miotły w kącie i gromadziły się koło mnie, pytając o nowiny.

A ja przed wyjściem zawiesziałem zawsze w kuchni na kółku jakiego zajaca, wypasionego na górskich łąkach... albo też w zimie starego lisa, z futrem tak gęstem i długim, że puszyło się naokoło jakby kudły niedźwiedzia. I to wystarczało.... Byłem zawsze przyjacielem domu, miałem zawsze miejsce przy stole. Hejże! piękny to był czas! piękny kraj! dobrzy ludzie!

— Ale dlaczegoż, ojcze, opuściłeś ten kraj, do którego tak byłeś przywiązany?

— Dlaczego?... a dlaczego człowiekowi nie dano ciągle być szczęśliwym? Wzrok już mi nie dopisywał, ręka stawała się mniej pewną. Nieraz zdarzyło mi się żem chybił do zająca.... A przytém ciągle mnożyły się trudności... zakazywano polowania... spisywano z nas protokoły, które się sypały jak grad.... żandarmerya nie dawała nam nigdzie zagrzać miejsca.... Trzeba było ustąpić z placu; zaszedłem tu, w nieznane mi strony, i osiadłem w tej pustelni, gdzie uprawiam swój kącik, i nie żałuję tego.... o nie żałuję!....

A czoło starca, kiedy to mówił, pokryło się chmurą, powstał z siedzenia i począł kroczyć powoli po swojej izdebce, z zasepionem licem, z rękoma w tył założonemi, błądy i ze wzrokiem w ziemię utkwionym. Wydawał on mi się w tej chwili podobnym do starego wilka, któremu wypadły zęby, stępiły się pazury i siedzi zasepiony w łożysku, marząc o dawnych łowach. Od czasu do czasu jakieś nerwowe drżenie poruszało jego ciałem, a ostatnie promienie słońca, padając na ciemne i zadymione ściany izby, nadawały tajemniczą barwę całemu temu obrazowi.

Nagle stanął przedemną i spojrzął mi w oczy.

— A więc tak! zawołał gwałtownie, tak!... masz słusność! Wolałbym być stokrotnie umrzeć w swoich górach, w swoich lasach, niżli żyć tutaj jak ptak na uwięzi. Ale niestety! było tam jeszcze co innego.

I usiadłszy na ławie przy oknie, patrzył na zachodzące słońce zamglonem oczyma.

— Pewnego dnia, rzekł, r. 1827 wybrałem się

z Gerardmer, z fuzyą na ramieniu, około godziny ósmej wieczorem, udając się do Schluck. Jest to najdziksze może ustronie pomiędzy tamtejszemi górami. Ponad skałami wieńczącemi tę pochyłość, widać co rano krążące całe stada ptaków drapieżnych, kań, jastrzębi, a czasem i orły alpejskie zabłąkały się tam... Ale ponieważ orły odlatują zwykle nad świtaniem, trzeba się wybrać bardzo wcześnie, żeby którego z nich ustrzelić. Znajdują się tam także kuny, rysie, łasice, które chowają się po jaskiniach, żywiąc się jajami ptasiemi.

O drugiego z rana znajdowałem się już w wąwozie i wstępowałem na górę wąską ścieżką, którą chcąc iść, trzeba być dobrze z nią obeznanym; wije się ona bowiem ponad przepaściami, a tu i owdzie pokrywają ją płachty mchu wyrastającego ze szczelin skał, zwilżonego rosą, na którym łatwo noga poślizgnąć się może, spodem zaś, o trzysta kroków najmniej w głąb, widać wierzchołki wysokich sosen rosnących na pochyłości.

Ale o tej porze o której szedłem, ciemności zalegały przepaść, noc była czarna, a na niebie zaledwie kilka gwiazdek słabym błysko światłem.

W drodze dolatywały moich uszów co chwila krzyki przeraźliwe kun. Zwierzątka te goniały się po nocy jak koty; kiedy księżyc świecił, widać je po kilka biegnące jedna za drugą po skałach, krokiem tak pewnym, jakby stapały po ziemi.

Czekając na pierwszy świt, usiadłem pod dębem i zapaliłem fajkę. Ciska była zupełna, wiatru ani znaku, żaden listek nie drgał, zdawało się że wszystko dokoła obumarło.

Kiedy tak spoczywałem z dobre pół godziny, marząc o różnych rzeczach, wydało mi się że nagle podemną, w niezmierną przepaść, jakieś mignięcie światła, niby błyskawica, oświeciło skałę.

— Co to być może, u licha? zapytałem sam siebie.

W chwilę potem łysnęło silniej jeszcze i czerwona luna światła padła na kilka sosen, których drżące cienie odbiły się w strumieniu ku przepaści płynącym. Zabłysnął płomień, a w około tego płomienia zarysowało się nagle kilka czarnych postaci, krzątających się jak mrówki. Tam na płaskiej skałe Cyganie założyli swoje obozowisko; zapalili snadż ogień, żeby się ogrzać, zanim ruszą dalej w drogę. Trudno sobie wyobrazić jak pięknym był widok tego koczowiska w głębi przepaści. Stare, zeszcłe drzewa, spłoty dzikiego bluszczu, jeżyny i powoje rozwieszone nokoło skał, na tle światła w dziwne rysowały się kształty; tysiące iskier, odbijając się w drżącej pianie potoku, jak nocne ogniki, tańczyły pod czarnym sklepieniem dębów.

Z wysokości na której stałem, zdawało mi się że widzę pod sobą obraz wielkości mojej dłoni... obraz tkany ze światła i złota, na czarnem tle ciemności nocnych.

I długo pozostałem tak w zamyśleniu, i mówiłem sobie że ludzie pośród olbrzymich gór i lasów są jakby drobne robaczki, rojące się w mchu drzewnym; i tysiące myśli podobnego rodzaju przechodziły przez moją głowę.

Nareszcie, czepiając się krzaków, zsunąłem się pomiędzy dwiema skałami i zatrzymałem na pochyłości Krappenfels, żeby ujrzyć tych ludzi bliżej... A ponieważ pochyłość stawała się coraz bardziej stromą, uchwyciłem się pnia grubego drzewa, które wyrastało najmniej o tysiąc stóp ponad obozowiskiem Cyganów.

Ujrzałem wówczas wyraźnie starą Cyganekę siedzącą przy kotle... Światło płomienia oświecało ją z boku; siedziała przykulona, objawiając kolana rękami i patrząc w kocieł, w którym strawa się gotowała. Troje albo czworo nawpół nagiach dzieciaków czołgało się koło niej jak żaby. Dalej kilku mężczyzn i kilka kobiet krzątało się w cieniu, przygotowując wszystko do podróży; siadali oni, wstawali, biegali, żeby dorzucić trochę drewek do ognia, który rozżarzał się coraz bardziej, napelniając wąwóz kłębam gęstego dymu.

Podczas kiedym spokojnie przyglądał się temu widowkowi, myśl diabelska przyszła mi do głowy, myśl która mnie z początku tylko rozśmieszyła.

— A cóż, rzekłem sam do siebie, gdyby nagle jakiś wielki kamień spadł z nieba pomiędzy tych ludzi... toż to dopiero przestraszyłaby się ta stara, co tam siedzi spokojnie, a ci inni jakżeby też porodziwialiłaby z przerażenia! Ha, ha, ha, tożby dopiero było!

Ale zaraz pomyślałem sobie, że trzebałoby chyba być zbrodniarzem, żeby z pochyłości spuścić kamień na tych Cyganów, którzy mi nigdy nie złego nie uczynili.

— Tak, tak, rzekłem sam do siebie, byłoby to szkaradnym uczynkiem... przez całe życie nie darowałbym sobie tego.

Na nieszczęście pod moją nogą znajdował się właśnie wielki kamień, którym machinalnie zacząłem poruszać, unosząc go i podtrzymując końcem buta.

(\*) Podług Erckmana Chatrian.

Tutaj pustelnik umilkł, a na twarz jego wystąpiła trupia bladeść. Po chwili zaczął dalej mówić:

— Widzisz pan, niech sobie co chcą mówią, ale polowanie to szatańska namiętność... ono rozwija w człowieku drapieżne instynkta, które zawsze znajdują się gdzieś w głębi naszego serca i czekają tylko chwili sposobnej do wydobycia się na jaw. Gdybym nie był przyzwyczajony do przelewania krwi od lat trzydziestu, rzecz pewna, iż na samą myśl że mógłbym zabić którego z tych nieszczęśliwych Cyganów, włosyby mi powstały na głowie. Uciekłbym natychmiast z miejsca, ażeby nie uleść pokusie.... Ale człowiek przyzwyczajony do zabijania, jak do wszystkiego innego, i okrucieństwo wchodzi w krew.... A przytém, trzeba i to wyznać, jakaś szatańska ciekawość zatrzymywała mnie na miejscu.

Wystawiałem sobie zdumienie Cyganów... jaki się pomiędzy nimi ruch nagle zrobi,... jak będą biegać na prawo i na lewo, podnosząc ręce, krzyżąc, drapiąc się na czworakach po skalach... ich wykrzywione twarze, ich dziwne gesta... a pomimo woli, pomimo wiedzy prawie, noga moja posuwała się nieznacznie... zwolna... i popychała kamień ku pochyłości.

I nagle usunął się on.

Z początku zrobił tylko jeden wolny obrót... Mogłem go być jeszcze zatrzymać... Powstałem nawet, żeby się nań rzucić; ale pochyłość była tak stroma w tém miejscu, że za drugim obrotem kamień stoczył się już o trzy stopy odemnie, dalej o sześć, potem o dwanaście..... Nie mogąc już go uchwycić, stałem na miejscu i czułem że błędne, że nogi drżą podemną. A kamień toczył się wciąż w kierunku owego płomienia... Widziałem jak podskakiwał w powietrzu,... potem wpadał znowu w cień, i słyshałem szum jaki robił przedzierając się przez zarośla... Była to chwila okropna.

Wydąłem krzyk..., krzyk taki, że cała góra mogła się zbudzić od niego... Cyganie podnieśli głowy... już było zapóźno! W téjże samej chwili kamień ostatni raz ukazał się w powietrzu... i... spadł!... Dowiedziałem się później że zabił starą Cyganę.

Starzec umilkł i przez chwilę patrzył na mnie błędnym wzrokiem... Krople potu spływały mu po czole. I ja milczałem także, siedząc ze spuszczoną głową...

Po chwili starzec mówił dalej:

— Tak, uczyniłem to. Pan jesteś pierwszy któremu się z tém zwierzęm, od chwili w której wypowiedziałem się u starego naszego proboszcza. A proboszcz rzekł do mnie: „Henryku, przyzwyczajenie do przelewania krwi zgubiło cie... spełniłeś zbrodniczość dla zartu... To straszna zbrodnia. Rzuć swoją fuzyą, nie zabijaj już stworzeń Bożych, pokutuj i pracuj, a może Bóg ci kiedyś wybaczy. Co do mnie, nie mogę ci dziś dać rozgrzeszenia.“ I ten ksiądz miał słuszość: namiętność do polowania zgubiła mnie. Podarowałem swojego psa staremu towarzyszkowi, zawiesiłem fuzyą na ścianie, i wybrałszy się w drogę, zaszedłem tu i... osiadłem w téj pustelni, skazując się na samotność obdrowolną.

Starzec zamilkł.

Pozostaliśmy tak długo w milczeniu, siedząc jeden naprzeciw drugiego. Tymczasem ściemniało się; głuche milczenie panowało dokoła, tylko zdaleka dawały się słyszeć głosy pasterzy nawołujących trzody i dolaty-

wał z doliny słaby odgłos dzwonka wioskowego kościoła, dzwoniącego na Anioł pański.

Około dziewiątej godziny księżyc wyszedł z za góry... Czas mi było w drogę. Stary pustelnik towarzyszył mi aż do progu swojej pustelni.

— Czyliż sądzisz że Bóg mi przebaczy? zapytał podając mi rękę.

A kiedy to mówił, czuć było drżenie w jego głosie.

— Jeżeliś wiele cierpiał... to może... Cierpienie jest pokutą.

Popatrzył na mnie przez chwilę w milczeniu.

— Czym cierpiał? rzekł nareszcie z goryczą. Pytasz czym cierpiał? Czyliż jastrząb zamknięty w klatce może być szczęśliwym? Nie... nieprawdą? Dawaj mu najlepszą strawę, on zawsze będzie smutnym. Spogląda na niebo przez szczeliny swojej klatki, skrzy-

wian Sorabów zaludnionym, niedaleko granic królestwa czeskiego, pomiędzy Lipskiem a Karlsbadem, przy drodze żelaznej, leży miasto Zwickau, w słowiańskim narzeczu niegdyś *Cwиковem* zwane. Najpiękniejszą ozdobą jego jest kościół Panny Maryi, dzieł luterski, fundacyi hrabiny Berty, córki znakomitego w dziejach czeskich Wiprechta hrabiego z Grójca (*Groitsch*) i Judyty królowny czeskiej, jak świadczy przywilej téjże hrabiny z roku 1118 *super oppido Zwickowe et ecclesia ejusdem oppidi*; (na miasto Cwиковo i kościół tegoż miasta). Rodzina hrabiów z Grójca panowała w Cwиковie; w tymże samym roku 1118 hrabina Berta wyszła za mąż za hrabiego Sizzona z Kefernburga; niedługo z nim żyła i drugi raz wydała się za Dedona z Wetttern; owdowiała w roku 1124, a sama umarła dopiero w roku 1143, zostawując córkę Matyldę, zamężną za Rabodonom hrabią z Abensberga. W późniejszym czasie miasto Cwиковo przeszło pod władzę margrabiów, potem książąt i kurfirsztów saskich, a z każdym wiekiem zacierały się bardziej pod panowaniem niemieckim ślady słowiańskiej narodowości mieszkańców tego kraju. W roku 1327 już wzbrownionem zostało użycie języka słowiańskiego po sądach w Lipsku i w Cwиковie. (1). Nie bez tego jednak żeby po dziś dzień nie pozostały jeszcze niektóre ślady słowiańskiego języka w herbie miasta, a słowiańskiej czei bałwochwalczej, (jak zobaczymy niżej) w kościele Panny Maryi, postawionym, wedle podania, na miejscu *gontyni Światowida*.

Do roku 1444 trzy wieże stanowiły herb miasta; wtedy przybyły do nich trzy łabędzie, po niemiecku *Schwäne*, co, (jak utrzymuje uczony dziejopis miasta dr Herzog) powstało z błędnego zrozumienia blisko-dźwięcznego słowiańskiego wyrazu *święte* (wieże albo miasto?) (2) Dla tych łabędzi jednak najdawniejszy kronikarz miasta, dr. *Erasm Stüler* (ur. w Lipsku w roku 1455, a w Bononii gdzie nauki lekarskie odbywał i w Polsce której opis zostawił, pod nazwiskiem: *Erasmus Stella* znany), korzystając z całkowitego zaginięcia archiwum miejskiego w roku 1403, wprowadził genealogią miasta od *Cygneusa*, syna czy wnuka Herkulesowego, i przeważał je *Cygneia*, albo *Cygnavia*; a nazwa ta i do późniejszych kronik już przeszła. Opierać się miała ta nazwa na jakimś przypadkowo znalezionym w polu grobowym napisie *Swan-*

*hildy*, córki *Cygneusa*, i na oczywiście podrobionych dyplomatach cesarzów Konrada II z r. 1030, Henryka III z r. 1042 i Henryka IV z r. 1074, fałszywości których dostatecznie dowiódł kilkakrotnie już przywiedziony przez nas dr Herzog. Tak więc przekręcono z wyrazu *święte*, niemiecki wyraz *Schwäne*, po łacinie *cygni*; a z tych wybujała fantazja kronikarza z XV wieku utworzyła *Cygneusa* potomka Herkulesowego i nazwę miasta *Cygneia* lub *Cygnavia*. Tymczasem wedle wszelkiego podobieństwa (jak twierdzi Kreisig), nazwa *Cwиковo* pochodzi od *wiki*, co znaczy po słowiańsku *targ*. (3).

Wspomnieliśmy wyżej o pożarze z 1403 roku. Kilka

(1) Dr Herzog, Chronik der Kreisstadt Zwickau 1839 r., t. II, str. 7.

(2) Herzog, t. I, str. 58—59.

(3) Herzog, t. I, str. 59—61.



PUSTELNIK.

dla mu drżą i umiera nareszcie z tęsknoty. A ja od lat dwudziestu jestem jak ów jastrząb.

I zatrzymał się chwilę, a potem rzekł jakby pod wrażeniem pomimowolnego uczucia:

— O góry! góry!... swoboda!... tam żyć i umierać! I wyciągnął ręce ku dalekim szczytom gór, a w oczach jego widać było wielkie krople łez.

— Biedny staruszek!... rzekłem sam do siebie, rozłączając się z nim, biedny staruszek!

I zamysłony wstąpiłem na ścieżkę wijącą się w górę.

## KOŚCIÓŁ PANNY MARYI

W CWIKOWIE (ZWICKAU)

I GRÓB CHRYSZTUSOWY W TYM KOŚCIELE.

W kraju dziś saskim, a niegdyś przez samych Sło-

wczesniejszych pożarów, mianowicie w latach 1328 i 1383, zniszczyły prawie do szczytu kościół Panny Maryi, postawiony przez hrabinę Bertę na początku XII wieku, tak iż część zachodnia tylko przy wieży zachowała dotąd jeszcze niektóre ślady budowy pierwotnej. Odbudowany kościół ucierpiał znowu w pożarze z r. 1403; w ten czas postanowiono odbudować częściowo świątynię większą i okazalszą niż dotychczasowa. W lipcu 1453 roku założono fundament chóru, o czym świadczy dochowany dotąd napis nad drzwiczkami po stronie południowej: *Anno domini MCCCCLIII diebus mensis Julii fundamentum huius chori inchoatum fuit*. Budowa ta ukończona została w r. 1470. W tymże samym roku odkryto kopalnię srebra w Schneeberg, a właściciel jej, Marcin Römer, wzbogacony przez to odkrycie, części skarbów swoich nakłpił swojemu imieniu i na drogocenne ozdoby kościoła P. Maryi użył. Pomiędzy klejnotami ofiarowanymi przez niego kościołowi, najdroższym zaiste był relikwiarz szczerzłoty, szafirami ozdobiony, zawierający w sobie cztery kawałki krzyża św., z napisem serbskim, świadczącym o pochodzeniu od św. Heleny cesarzowej, a który za znaczną sumę nabyty został r. 1479 przez Römera w Salzburgu i do kościoła Panny Maryi ofiarowany. Pozostał w nim, pomimo przejścia kościoła na luterski, aż do roku 1632. Wtedy Wallenstein, oparnowawszy miasto Ćwikowo w czasie 30 letniej wojny, zagroził mu spalaniem, jeśli relikwii Römerskiej nie poszle przez jego ręce cesarzowi Ferdynandowi, jako dobrowolną ofiarę. Niewiadomo czyli doszła ona do rąk cesarza i czy zachowuje ją dotąd skarbiec wiedeński.

Przed nabyciem tej relikwii jeszcze, bo w roku 1470, rodzina Römerów otrzymała od cesarza Fryderyka III szlachectwo i herb: *dwie miecze rzymskie na krzyż, który na wielu miejscach wewnątrz kościoła, jakoteż w przyległych budowlach i na rynku, umieścili nowouszlachceni, ale zdawna dobrze zasłużeni miastu mieszczanie. Marcin Römer był starszym w urzędzie miejskim od 1475 do 1483 r.*

w którym umarł. On to także zostawił kościołowi wspaniałą po sobie pamiątkę, to jest wielki ołtarz szafiasty, zamówiony za 1400 florenów u sławnego malarza Michała Wohlgemutha, mistrza Albrechta Dürera, a w którym podobno Adam Krafft rzeźby z drzewa wykonał. Bracia Marcina: Mikołaj (*Niclas*) i Jan, (*Hans*) wraz z nim w Römerskiej kaplicy pochowani.

Dlatego trochę przydłużę zatrzymaliśmy się nad

tego podaliśmy niniejszy opis miasta Ćwikowa, a raczej kościoła Panny Maryi.

Ale wracając do tego kościoła nawpół skończonego w roku 1470, nie możemy pominąć średniowiecznej legendy ludowej, która zbudowaną kościoła połączyła odkrycie kopalni srebra.

W biednej chacie, niedaleko skowronkowego młyna (*Lerchenmühle*) żył sobie człowiek, który posiadał trzy osły, i ztąd przewany był *osłarzem*. Biednym był wprawdzie, ale miłosiernym, bo z każdym rad był dzielić się własnym kęsem chleba. Osły zwykle pasły się na łące pod młynem, która dotąd zowie się *osłą łąką*. Jednej nocy, wśród okropnej nawałnicy, znalazła w chacie biednego osłarza przytułek i gościnność serdeczną upadająca pod znosem staruszka. Była to N. Panna. Wychodząc, podziękowała staruszka za gościnność, o biletnicą znacznych skarbów ziemskich. Osłarz, popędziwszy osły

swoje na łąkę, czem prędzej wraca do chaty, a żali nie znajdzie już tam obiecanych skarbów; napróżno jednak szukał po wszystkich kątach do samego wieczora. Przed nocą wróciły potulne osły z zakrwawionymi pyskami. Zdziwiony i zafrasowany wiele osłarz, zapala latarke i śpieszy na łąkę, dla zbadania przyczyny kalécstwa swych zwierząt; ale ledwie wstąpił na łąkę, sam kaléczy sobie nogę o coś ostrego, przypatrjuje się bliżej, a tu z pod trawy błyszczą wszędzie niby srebrne kolce. „Panno Najświętsza! krzyknął, otóż i skarb się znalazł!“ Natychmiast biegnie do chaty i powraca z rydlem, pędząc przed sobą wszystkie trzy osły przykryte próznymi worami. Dalejże do pracy aż do świtu, i tyle srebrnych kolców wykopuje, iż z pełnymi worami na osłach do chaty wraca. Tam, zrzuciwszy skarby swoje z osłów, przypatrjuje im się ciekawie i złożywszy ręce do modlitwy: „Dziękuję ci, Panno Najświętsza! zawołał, do-

bry uczynek z nich zrobię. A najprzód taki kościół ci wybuduję, nad który piękniejszego w całym kraju okolicznym nie będzie.“ I spełnił osłarz ślub zrobiony, i po dziś dzień widzieć jeszcze można w kościele Pan-



RYNEK W ĆWIKOWIE. (Rysował ze sztychu Kozarski).



KOŚCIÓŁ PANNY MARYI W ĆWIKOWIE. (Rysował ze sztychu Kozarski).

rodziną Römerów (której imiennicy znajdują się także w Kurlandyi i na Litwie), że oni to darowali dziś kościołowi Panny Maryi ów grób Chrystusowy, co go miał wyrobić nasz *Wit Stwosch*, a z powodu któ-


bry uczynek z nich zrobię. A najprzód taki kościół ci wybuduję, nad który piękniejszego w całym kraju okolicznym nie będzie.“ I spełnił osłarz ślub zrobiony, i po dziś dzień widzieć jeszcze można w kościele Pan-

## Tomasz Ostrowski.

(Dokończenie).

ny Maryi w Ćwikowie godło jego, to jest *bicze* oslarza.

Cokolwiekby, część nowego kościoła odbudowana została od 1453 do 1470 roku, a następnie kaplicami i ołtarzami ozdobiona przez Marcina Römera, właściciela nowoodkrytej kopalni srebra w Schneebergu. W 1506 roku przystąpiono do murowania z kamienia ścian zewnętrznych, dla rozprzestrzenia nawy kościelnej, jak świadczy napis wewnętrzny na miedzianej tablicy, wprawionej na zewnątrz ściany północnej przy chórze. Na gzymsie obok tej tablicy wyrzeźbiono z kamienia postać dziwną, na podobieństwo drugiej, służącą za zamknięcie od sklepienia w najdawniejszej części kościoła, pod wieżą. Są to trzy twarze z czterema oczami i obwisła naokoło broda, przykryte jednym kapeluszem, a więc połączone cechy *Swiatowida* i *Tryglawa*, głównych bożków teogonii słowiańskiej. Budowa nowego rozprzestrzonego kościoła ukończona została dopiero 1536 roku, tak jak się dziś jeszcze przedstawia. (4).

Wraz z rozpoczęciem tej budowy, przybyła kościołowi ze szczytów rodziny Römerów nowa ozdoba, to jest *grób Chrystusowy z drzewa rzeźbiony*, (rysunek A). Jest to sarkofag podobny do grobu św. Sebaldy w Norymberdze, wysoki 9, długi  $4\frac{1}{2}$ , szeroki 2 łokcie. Składa się z trzech kondygnacji; nad czwartą wznosi się lekka wieżyczka, mieszcząca w ostrołukowych framugach swoich posąg. N. Panny i 4 ewangelistów, na trzy ćwierci łokcia wysokie. Ściany niższej i wyższej kondygnacji rzeźbione są w najbogatsze arabeski z liścia i kwiatów. Wewnątrz wyższej kondygnacji spoczywa ciało Chrystusowe, także z drzewa wyrobione, ale widocznie późniejszego i miernego dłuta. Średnia kondygnacja okolona jest postaciami dwunastu strażników grobu Chrystusowego, śpiących w najrozmaitszych postawach, w pół-wypukłej rzeźbie. Napis na jednym z większych boków pomnika, wyrzeźbiony długimi gotyckimi głoskami, brzmi tak: *Anno domini MCCCC und VII jar ist das grab gemacht*. Pod jednym ze szczytów wyższej kondygnacji, na tarczy wyrzeźbiony jest znak odnoszący się może do głowy rodziny Römerów, Marcina, zmarłego w roku 1483 r.  Po czterech rogach, pomiędzy niższą a średnią kondygnacją, cztery fantastyczne bestyjki trzymały w łapkach tarcze, z których dwie już odpadły, jedna próżna, a czwarta ma znak i litery odmienne od wierzchniej tarczy, (rysunek B). Miałaby to być monogram nieznanego mistrza? Nieznanym nazywają go dawne opisy miasta Ćwikowa i kościoła Panny Maryi. Dopiero w drukowanym przed kilkunastą laty opisie kościoła staraniem miejscowego kustosa, po raz pierwszy znajdujemy się wymienione nazwisko mistrza... *Wita Swosza*. Rzeczywiście charakter postaci śpiących strażników, przypomina wielce postacie tegoż rodzaju, płaczące naokoło grobowca króla Kazimierza Jagiellończyka, a niektóre z nich szczególnie dobrze są oddane. Styl zaś ozdób architektonicznych i arabesków przywodzi na pamięć śliczny wierzch wielkiego ołtarza Maryackiego w Krakowie. Ale cóżby znaczyło godło z literami M. H. na tarczy dolnej wyrzyte, a co litery M. R. na tarczy górnej, które pomimo wyżej przywiedzonego domysłu miejscowego, nie zdają mi się do rodziny Römerów należeć? Czy oznaczałyby dwóch uczniów jednego mistrza... *Wita Swosza*? Pytanie to może rozwiązaniem być chyba przez porównanie, a najwłaściwszym środkiem do tego, jest rozpowszechnienie rysunku tego pomnika przez drzeworyty Tygodnika Ilustrowanego.

Grób Chrystusowy umieszczony jest w kaplicy górnej, do której prowadzi pięknej budowy podwójne kręcone wschody. W roku 1833 nastąpiła restauracja tej pięknej rzeźby, (kosztem jednego z Römerów) i powleczono ją gorzkim pokostem (*Coloquintwasser*), dla zabezpieczenia od robaków.

O obrazach Kranacha w kościele Panny Maryi, o nagrobkach z XVI i XVII wieku, z pomiędzy których najwspanialszy jest *Karola von Bose* z r. 1657, z prześliczną płaskorzeźbą z marmuru kararyjskiego, przez Gabriela Brunelli z Bononii, przedstawiającą *Pana Jezusa w ogródcu*, choć w kilku słowach wzmiankę uczynić należy. Przy tejże kaplicy rodziny *Bose*, każdej niedzieli, po rannem nabożeństwie, rozdają bułki 26 ubogim, z funduszu zostawionego przez *Karola von Bose*, a wynoszącego 26 i  $\frac{2}{3}$  talarów na rok. Skromniejszy ale pożyteczny datek obywatelski, obok wspaniałych zabytków Römerowskich, do których należy i rzeźba przypisywana dławowi naszego *Wita Swosza*. *Aleksander Przeździecki*.

(4) Kościół Panny Maryi w Ćwikowie opisał pod względem sztuki *Baron von Bernewitz*, z dodaniem rysunków architektonicznych, w odczonym wydaniu: *Die S. Marienkirche in Zwickau. Annaberg*. Dwa zeszyty in folio.

Ku końcowi 1808 r. zwołane zostały sejmiki, a w następnym miał się odbyć pierwszy sejm księstwa warszawskiego. Fryderyk August, który rzeczywiście pragnął szczęścia nowych swych poddanych, zaraz od początku objęcia rządów pytał się o ludzi bez zmyślenia i chciał żeby go zawsze wierna, poważna i sprawiedliwa otaczała rada. Dlatego też Ostrowskiemu ofiarował przewodniczenie na tym sejmie, gdyż on używał największej popularności i był od wszystkich kochanym. Lecz aby zostać marszałkiem sejmiku, trzeba było poprzednio być posłem. Skoro się tedy dowiedział naród, że Ostrowski na marszałka jest przeznaczony, powszechnie sprawiło to zadowolenie, a wyborcy powiatu warszawskiego, na sejmiku u ks. bernardynów na Krakowskim-przedmieściu, wybrali go jednomyślnie posłem od siebie. Początek Ostrowski podejmował wspaniale i z gościnnością staropolskie czasy przypominającą, licznie u siebie zebranych obywateli.

Pierwszy ten sejm księstwa warszawskiego, pod laską Tomasza Ostrowskiego, na którą to godność nie przez wybór, lecz wolą królewską był powołany, otwarty został dnia 10 marca 1809 r. Zgromadzenie to miało w swym gronie znakomitych mówców, jak: Stanisława Potockiego, Tadeusza Matuszewicza, Linowskiego i innych. Ostrowski daru wykwinnej wymowy nie posiadał, lecz myśli swe wyrażał zwięźle, zrozumiale, z matematycznym obrachunkiem w słowach, bez łechtania wyobraźni słuchaczy wielością przenośni, lub sypaniem kwiatów poezji; w jego mowie była tylko logika i prawda. Do tego łączył takt niepospolity w rzeczach publicznych, będący owocem wielkiej przytomności umysłu i długiego doświadczenia; a przymiot to konieczny w przewodniczeniu publicznym obradom. Wkrótce w sejmie zawiązała się opozycja, która położyła sobie za główne zadanie karcenie nadużyć, przestrzeganie ścisłego wykonywania konstytucji, zaprowadzenie oszczędności w skarbie i rozwijanie swobód. Ostrowski skrycie sprzyjał tej opozycji; dla wszystkich jednak opinij równie był sprawiedliwym i z całą bezstronnością kierował sejmem, gdyż sama nawet opozycja kochała i szanowała króla, lubo nad wszystko miłowała nietykalność nowoosiągniętych swobód krajowych.

Czas trwania tego sejmiku był na dni piętnaście ograniczony. Przez ten czas, odpowiednio stopniowi piastowanemu i znacznemu swemu majątkowi, Ostrowski własnym kosztem, (gdyż nie chciał być skarbowi publicznemu ciężarem, choć mu na to fundusz 30,000 złp. ze skarbu ofiarowano), prowadził wystawny dom w pałacu Brühlowskim. Tam to po nużących, często nawet nader ożywionych rozprawach, dawane były przez marszałka sute obiady i prawie codzienne licznie odwiedzane wieczory, na których panowała szczerą, staropolską wesołość. Stanowisko marszałka sejmowego było podówczas bardzo wysokie; zaciągała do niego warta z oficerem, bito przed nim werbel, a po skończonym sejmie Ostrowski otrzymał od króla w darze piękną tabakierkę z jego portretem, chociaż mu powiedzenia prawdy w każdej chwili i przy każdej okazji nie szczędził, chociaż ta prawda i do osoby królewskiej często stosowaną bywała.

Oprócz powołania go do senatu, powierzył mu król jeszcze inne ważne tymczasowe zlecenia, jak naprzykład nadanie kredytu papierem kassowym, do czego potrzeba było imienia i podpisu najwyższej w kredycie i ufności publicznej ugruntowanego obywatela. Dał się użyć Ostrowski do tej drażliwej skarbowej misji, lecz pod tym tylko warunkiem, żeby w gotowiznie do kasy odpowiednia wypłynęła summa. Ta przezorność sprawiła, iż lubo papiery te w czasach już niepewnych, bo w epoce blizkiej wojny, w kurs weszły, podpisane jednakże przez Ostrowskiego, uzyskały zaufanie i zastąpiły brak metalu.

W wojnie austriackiej, gdy na mocy konwencji z dnia 24 kwietnia 1809 r. wojska austriackie zajęły Warszawę, polskie zaś wyszły na Pragę, a wszystkim urzędnikom, władzom rządowym i mieszkańcom stolicę opuścić dozwolono, Ostrowski, na wniosek naczelnego wodza księcia Józefa Poniatowskiego i od władz rządowych i municypalnych uproszony, pozostał w mieście.

Dnia 8 grudnia 1811 roku, otworzono drugi sejm księstwa warszawskiego, a tegoż dnia Tomasz Ostrowski mianowany został przez króla prezesem senatu. W czasie wojny 1812 r., gdy znowu sejm zwołano, Ostrowski pozostał bez wpływu bezpośredniego; jednakże w najkrytyczniejszych nawet chwilach, kiedy już wielu zaczęło rozpaczać i tylko przez uczucie honoru z drogi powinności nie zbaczało, on wtedy tém bardziej umacniał w sobie męstwo duszy i stałość cha-

rakteru. Z dwóch jego synów walczących w szeregach francuzkich, Tadeusz, będący przez całą kampanię przy sztabie księcia Józefa Poniatowskiego, przybył do domu rodzicielskiego pieszo, zmarznięty, głodny, obdarty i jeszcze uległ tam strasznej a wówczas powszechniej chorobie nerwowej; o życie też wnuka swego, Ignacego Ledóchowskiego, Ostrowski musiał się obawiać, gdy młodzieńcowi w Królewcu nogę odjęto. Tak codziennie prawie, po każdej bitwie, drżał o losy kraju i życie swego potomstwa. Nakoniec, po zajęciu stolicy, gdy rząd księstwa warszawskiego, rada konfederacyi, pełnomocnik francuzki Bignon i wszyscy którzy z nowym położeniem rzeczy nie tak łatwo oswoić się mogli, wraz z resztką wojska udali się do Krakowa, pozostał Ostrowski w stolicy, lubo miał w różnych stronach dobra swoje i majątki, do których mógł się być schronić i tam oczekiwać ostatecznego rozwiązania toczących się podówczas tak ważnych wypadków europejskich i losu narodu. Z synów jego Władysław pozostał w oblężonym Gdańsku, Tadeusz pociągnął z Napoleonem, Antoni zaś znajdował się przy armii, jako członek rady konfederacyi.

Nie miał wprawdzie Tomasz Ostrowski udziału w ustanowionym następnie rządzie tymczasowym, lecz wpływ jego i udział w wypadkach nie ustawał. W lipcu 1814 roku pod jego przewodnictwem ustanowiono komitet organizacyjny nowego królestwa, którego członkami byli: książę Adam Czartoryski, Wawrzecki, Nowosiłcow, Józef Ossoliński, Dominik Kuczyński, Staszic i Koźmian. Posiedzenia tego komitetu, którego pierwsze zebranie było d. 3 lipca, odbywały się zawsze w domu prezesa senatu, a grono to następnie powiększone zostało jeszcze przez księcia Lubeckiego i J. U. Niemcewicza. Komitet z tak różnorodnych złożony żywiołów, trudne a często nawet nader niemiłe wkładał obowiązki na pojedynczych jego członków. Ostrowski najwięcej się zajmował w tej organizacyjnej pracy z księciem Czartoryskim, a lubo różnili się nieraz w wyborze środków, jednakże przejęci równą gorliwością dla kraju, porozumiewali się zwykle wkrótce z największą otwartością. Zresztą każdy się domyśli, że od tego organizacyjnego komitetu żądano raczej objaśnień w sprawach krajowych, jak pracy organizacyjnej. Większość jednakże członków dokładała wszelkiego starania, aby nie stracić swęj niezależności zdania i zgodziła się na przedstawienie następnych zasad:

Skład administracyi wewnętrznej księstwa warszawskiego, jako zbyt uciążliwy i kosztowny, chciano zastąpić kommissją cywilno-wojskową; kodeks Napoleona i procedurę sądową zastąpić tymczasowo prawem polskim statutu litewskiego, zanim nowy kodeks cywilny i kryminalny oraz procedura polska ułożone nie zostaną. Zamierzono dalej zreformowanie listy urzędników i ich płacy; obmyślenie środków do wzniesienia dobrego bytu i porządku w miastach; upiększenie stolicy i wsparcie teatru narodowego. Rozważono środki polepszenia losu włościan i uposażenia ich własnością; projektowano nowy system dochodów skarbowych, zastosowany do podniesienia podupadłego handlu, rolnictwa i rękodzieł. Wreszcie przywrócić miano duchowieństwu dawniej posiadane przez nie dobra. Słowem niczego nie opuszczono, co tylko rządowi i administracyi dotyczyło.

Tymczasem d. 15 maja 1815 r. nadesłał cesarz Aleksander Ostrowskiemu zasady do konstytucji i wyznaczył pod jego przewodnictwem nowy komitet, dla rozważenia tych zasad. Komitet ten, pod prezydencją Ostrowskiego, złożony był z senatora ordynata hr. Zamojskiego, ministra skarbu Matuszewicza, radców stanu Linowskiego i Grabowskiego.

Nakoniec dnia 20 czerwca 1815 r., w miejsce dawniejszej rady najwyższej tymczasowej ks. warszawskiego, zaprowadzonym został rząd tymczasowy królestwa polskiego, a 27 listopada tegoż roku podpisał Cesarz w zamku królewskim w Warszawie konstytucją dla nowoutworzonego królestwa, której wielkich zalet i wolnościowości odmówić nie można. Sami nawet przyjaciele konstytucji trzeciego maja i księstwa warszawskiego, przyznawali tej nowej konstytucji królestwa wyraźny postęp i wyższość, a uczone Lelewel (Trzy konstytucje polskie) tak się wyraził: „W księstwie król samowładny wzywał do narady reprezentacyjnej narodu posługę; w królestwie król ze swego samowładztwa znaczną część poświęcił i zawiesił dlatego, aby publiczną sprawą reprezentacją narodu zatrudnić.“ (str. 58). Niewątpliwie była ona liberalniejszą od konstytucji ks. warszawskiego, pod względem ścisłego zabezpieczenia nietykalności osób i własności, wolności sumienia i duku, niepodległości sądownictwa i odpowiedzialności ministrów.

Dzień 7 stycz. 1817 r., w którym Ostrowski otrzymał potwierdzenie jako prezes senatu, był ostatnim dniem publicznego jego zawodu, a zarazem dziwnym zdarze-

Rzecz jak dzisiaj dla nas niewytłumaczona, dlaczego książę Dymitr, o którego prawdziwej miłości dla Ireny powątpiewać nie można, do czasu jej zamęścia ciągle zastawiał się innymi i był prawie zawsze za kulisami wypadków.

Magnat, królwiątko polskie, nie chciał wierzyć aby księciu z Wiśniowca mógł jakiś Kozak ubiedz narzeczona, albowiem młody wiek jego nie dawał mu sposobności działania na własną rękę. Gdy jednak fakt został spełniony, gdy Tymoszko powiódł z sobą żonę do Czechryna, gniew, żal i zazdrość opanowały serce młodego księcia i ślubował albo zginać, albo wydrzeć kochankę z rąk nienaawistnych.

Lupulli, przebiegły i umiejący chwycić każdą sposobność złą lub dobrą, byle korzystną, widząc że już stanu rzeczy nie zmieni, począł pilniej przyglądać się Tymoszkowi i jego stosunkom, ażali nie upatry gdzie sposobności do wynagrodzenia sobie straty córki i wszelkich krzywd w zalotniczych zapasach poniesionych. Tymoszko miał na rozkazy bitną i liczną czelność, a Lupullemu nieraz w bezsensownych nocach kręciła się po głowie myśl połączenia pod swym władztwem Multan i Wołoszczyzny. Znał także ambitne zamiary starego Chmielnickiego i jego wpływ u Porty, nie wątpił więc że byle mu się udało wypędzić gospodarza wołoskiego, zawładnie łatwo w Targowisku. (1).

Chmielnicki, który głównie dla wmieszania się w interesy Multan i Wołoszczyzny poniósł tyle ofiar i strumieniami krwi i łez oblał weselne gody swego syna, który nie posiadając jeszcze Kamieńca, już w listach do Lupullego zapraszał młodą parę na przenosiny do tego miasta, zwać swoją synową księżną podolską; Chmielnicki, po którego głowie uwijały się myśli o połączeniu w jedno państwo krajów słowiańskich nad-dunajskich, zaraz w czasie wesela poddał Lupullemu myśl wygnania Macieja I gospodarza wołoskiego, a Lupulli, choć nie w ciemię bity, nie obejrzawszy się na czyje to koło woda, uroczystą umową obowiązał się przygotować napad na Wołoszczyznę, byle mu tylko Chmielnicki dopomógł.

Układ ten, lubo w najściślejszej tajemnicy trzymany, przedarł się jednak wkrótce za bramy hospodarskiego zamku. Polacy którzy pozostali w Jassach, wierni swoim stosunkom z Wiśniowieckim, dali mu znać co się święci. Od Wiśniowieckich i Radziwiłłów dostała się wiadomość do króla Jana Kazimierza. Zamiary Chmielnickiego, których ziszczanie uczynić go musiało nader groźnym i niebezpiecznym dla rzeczypospolitej sąsiadem, nie mogły być w Polsce obojętnie widziane. Z jednej więc strony gniew i zemsta Wiśniowieckich i Radziwiłłów, z drugiej obawa spełnienia się zaborczych zamiarów Chmielnickiego, skłoniły dwór, że nie licząc na własne sily, jak czynił najczęściej, uciekł się do dyplomacji.

Plany Chmielnickiego groźne były nie tylko dla Polski i Wołoszczyzny, ale i dla Siedmiogrodu; nie mogły także przypaść do smaku ludności Multan. Potrzeba więc było, dla zniweczenia ich poruszyć wszystkie sprężyny.

Przestrzeżony Maciej, zniósł się z Rakocym księciem siedmiogrodzkim, a za pomocą Jerzego Stefana Rucaceni logoteta multańskiego, zapewniwszy sobie współdziałanie Multańczyków, gotował się w największej cichości uprzędzić zamiar Lupullego.

Gdy Lupulli, czekając na pomoc Chmielnickiego, więcej rozmyśla aniżeli działa, dowiaduje się naraz, że Maciej wkracza z wojskiem w granice Multan i że ludność miejscowa garnie się z zapalem do logoteta, który łączy się z Maciejem i razem z nim pośpiesza do Jass.

Wiadomość ta tak dalece znalazła go nieprzygotowanego, a niechęć Multańczyków tak bardzo go przestraszyła, że nie myśląc nawet o oporze, spakował całe swoje mienie na wozy, zabrał żonę i dzieci i uciekł do Kamieńca.

Maciej z łatwością wszedł do Jass; ale niebawem doszły go wieści że Tymoszko, na czele 42,000 Kozaków, prowadzi do Multan swego teścia. Rakocy przysłał znaczne posiłki; pomimo tego jednak nie dowierzano sobie, bo Multańczycy ze zwykłą opieszałością nie kwapili się stanąć w szeregi. Jakoż przy pierwszym spotkaniu z piechotą Rakocego, Tymoszko odniósł znakomite zwycięstwo, część piechoty wyciął,

(\*) Stolica Wołoszczyzny dopiero w kilka lat później przeniesioną została do Bukarestu.

niem ostatnim nieledwie życia. W tym bowiem dniu doznał uderzenia paraliżowego, do czego już od roku 1795 miał skłonność. Wszelkie starania i umiejętność kilku lekarzy już mu pomódz nie mogły, owszem zaraz w pierwszej chwili oświadczyli lekarze, że dzień śmierci Ostrowskiego jest bliski i niecofiony. Jakoż śmierć jego nastąpiła w dniu 5 lipca 1847 r. Senator kasztelan Aleksander Linowski przy zamknięciu trumny miał przemowę i wielkie na słuchaczach sprawił wrażenie.

Tak skończył mąż, który w kraju doszedł do najwyższych godności i pozyskał u wszystkich szacunek i poważanie. Doszedł zaś tego stopnia tylko przez to, iż postępował w całym swym życiu drogą pracy, cnoty i prawdy, z nieograniczoną miłością i poświęceniem się dla kraju. Zwłoki jego złożono w Nadarzynie.

Z pierwszej swjej żony, Godlewskiej, miał tylko jedną córkę Julię, którą wydał za Antoniego hr. Ledóchowskiego; z tej miał wuuków: Józefa, Ignacego, Tadeusza, Tymoteusza, Apolonię i Izabellę Ledóchowskich. Z drugiej żony, Apolonii Ledóchowskiej, zostawił synów: Antoniego, Franciszka, Władysława, Tadeusza, Atanazego i córki: Ludwikę, Helenę i Maryę. Z trzeciej żony Kunegundy z Brzozowskich żadnego nie miał potomstwa. W ciągu życia swego ufundował i wybudował trzy kościoły parafialne, to jest jeden w Nadarzynie, dwa na Ukrainie w Tetyowie i w Piatyhorach, kościół zaś w Ujeździe zrestaurował.

E. K.

## PRZEGLĄD

### POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

16 stycznia.

Otwarcie obrad ciała prawodawczego w Paryżu odbyło się w dniu 12 b. m. w wielkiej sali pałacu w Luwrze, w obecności cesarza, członków senatu, ciała prawodawczego, rady stanu, ciała dyplomatycznego i licznego napływu dobranej publiczności. Cesarz Napoleon skreślił dorywczy obraz pięcioletnich czynności w kwestjach dotyczących polityki zewnętrznej i wewnętrznej i zakończył ogólnym życzeniem, aby przyszłe wybory dostarczyły takich deputowanych, którzyby trwałość państwa i wielkość ojczyzny stawiali wyżej nad interes pojedynczego stronnictwa. Zauważa noże kwestye rzymska i meksykańska z lekka tylko były dotknięte i nie zaspokoily ogólnej ciekawości. Minister spraw zagranicznych p. Drouyn de Lhuys, złożył w izbie tak zwaną żółtą księgę, a raczej memoriał dotyczący polityki zagranicznej. Monitor z dnia 13 b. m. donosi, że król Ferdynand portugalski stanowczo odmówił kandydatury do tronu greckiego. Tenże dziennik zawiadamia, że miejsce zmarłego arcybiskupa Morlot, zajmie ksiądz Darboy biskup z Nancy. Z Meksyku piszą, że generał Forey zajął dwa ważne stanowiska na drodze ku Puebla.

Depesza z Berlina z dnia 14 stycznia donosi o otwarcu posiedzeń sejmku przez p. Bismark. Mowa tronowa wyraża nadzieję załatwienia istniejących nieporozumień w przedmiocie budżetu i reorganizacji armii i wspomina o pomysłnych usiłowaniach Pruss w kwestyi traktatów handlowych z Francją i związkami państwami Niemiec. Staats Anzeiger donosi że król przyjmował już ministra wojny i członków gabinetu wojskowego i że w ogólności przychodzić zaczyna do zdrowia. Mówią że panu von der Heydt znowu ofiarowano ministerium skarbu. Założenie szkoły wojskowej w Głogowie, dotąd pozostaje w projekcie.

Z Włoch nie godnego uwagi. Memoriał p. Drouyn de Lhuys wspomina wprawdzie o kwestyi włoskiej, ale podaje rzeczy już znane. Rząd francuzki sądzi, że organizacja Włoch nie jest możliwą, dopóki istnieje rozdwojenie między papieżem a Włochami, i w tym celu zniósł się z rządem papieżkim, który przyrzekł zaprowadzić instytucje zgodniejsze z duchem czasu. Składki na wsparcie ofiar bandytyzmu w Neapolu idą pomyślnie. Perseveranza donosi, że w przeciągu dni dwóch zebrała w redakcyi do 17,000 franków. Wiadomość o odkryciu spisku burbońskiego w Neapolitańskim potwierdza się, zdaje się wszakże iż dzienniki przesadziły istotne rozmiary tej agitacji. Układy handlowe z Francją są na ukończeniu. Dziennik Europa zapewnia, że p. Scialoja wraca do Paryża, celem ostatecznego podpisania traktatu handlowego. Tenże dziennik twierdzi, że p. Odo Russel, agent angielski w Rzymie, odczytał miał Ojcu św. na prywatnym posłuchaniu poufną depeszę ministra Palmerstona, zawierającą propozycją, aby papież wraz

z kardynałami przeniósł się na wyspę Malte i że Ojciec św. odrzucił tę propozycją. Wiadomość ta nie zasługuje na wiarę. Poseł włoski przy dworze francuzkim, p. Nigra, wyjechał do Turynu.

Z New Yorku piszą pod dniem 1 grudnia, że wyprawa generała Banka przybyła do Orleanu w dniu 14 t. m. Generał Butler, głośny z surowego postępowania z mieszkańcami Orleanu, odwołany i wezwany do Waszyngtonu. Wiadomości z pola bitwy nie brzmia pomyślnie dla federalistów. Konnica separatystów pod dowództwem Stuarta wkroczyła do Dumfries, gdy tymczasem Stonewall i Jackson wciągnąć mieli w zasadzkę i zniszczyć znaczną część korpusu federalnego Siegla. Stowarzyszenie demokratyczne proponuje zwolanie wiernych stanów do Louisville, celem zastanowienia się nad środkami powstrzymania wojny.

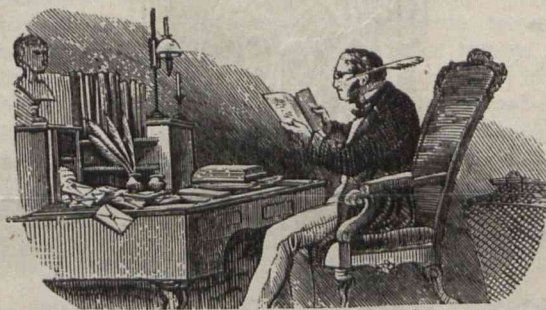
W dniu 12 b. m. otwarte zostały posiedzenia sejmów krajowych w Pradze, Lwowie i Czerniowcach. Posiedzenia sejmku lwowskiego zagał przemową marszałek książę Sapieha.

*Patrie, Ind. Bel., Schles. Zeit., Jour. des Deb., Constit.*

**Ostatnie depesze.** New York 23 grudnia. Stoczono walną bitwę pod Morfreesboroug w Tennessee. Federaliści wzięli szanice. Bitwa trwała dni kilka. Straty są ogromne. Atak federalistów na Wicksburg w Missisipi odparty. Straty są bardzo znaczne.

London 14 stycznia. Burnside otrzymał dymisję, a Hooker ma być jego następcą. Atak Stuarta na Maryland pozostał bez skutku.

Paryż 14 stycznia. Ogłoszono różne dokumenta dyplomatyczne. Jedna z depesz p. Drouyn potwierdza wiadomość, że Anglia proponowała papieżowi udanie się na Malte. Prace ciała prawodawczego przeciągną się w tym roku najmniej przez cztery miesiące.



Szanownych czytelników i czytelniczki nasze, tak w Warszawie jak i na prowincyi lub w cesarstwie, upraszamy najuprzejmiej o nadsyłanie redakcyi materiału do kroniki tygodniowej. Materiałem tym mogą być wszelkie fakta odnoszące się do stosunków społecznych i obyczajowych, do literatury, sztuki, przemysłu i t. p. Nie idzie tu wcale o obrobienie stylowe, tylko o doniesienie samego faktu, z zaręczeniem za jego wiarygodność; korzystanie zaś z takich doniesień w sposób właściwy, będzie już wyłącznie rzeczą redakcyi.

*Pam. Wł. D.* w Krzywoności Życzeniu pańskiemu co do Kliszowy i listu Wapowskięj postaramy się uczynić zadosyć Restauracya ołtarza u Panny Maryi w Krakowie, ile nam wiadomo, postępuje bardzo powoli. Wpływają potrosze składki, ale wszystko to mało w porównaniu do potrzeby. Życiorysów i wizerunków o których pan wspomina, osobno dać nie przyrzekamy; może jednak nadejdzie chwila, że zamieszcimy je w jakiej grupie ogólnej. Inne projekta pańskie podniosła już po części zesłotygodniowa i dzisiejsza kronika nasza. Numer w kwestyi będące wyprawiliśmy razem z bieżącym.

*Panu Y. z Luckiego.* Nie rozumiemy dobrze celu reklamacyi pańskiej. Gdy jednak przyzwitość dziennikarska wymaga, aby polemika wszelka toczyła się w szpaltach tegoż samego pisma, którego odezwanie się spór wywołało, przeto odesłaliśmy list pański redakcyi Tygodnika Mód, do stosownego użytku.

*Panu A P z M.* Nadesłany rebus, bardzo dobrze ułożony, rozwiąaliśmy jak następuje: „Panie redaktorze! z rozkoszą wyznać musimy, iż drzeworyty w Tygodniku o wiele wartość swą polepszyły, a w artykułach waszych taki dobór, że trudno więcej żądać. Prenumerator Tygodnika.“ W jednym tylko miejscu zaszła mała pomyłka; w wyrazie bowiem *polepszyły*, zamiast z *y... ty*, narysowano *y z ty*. Umieścić go naturalnie, że względu na treść, nie możemy.

*Panu M. K. w Wilnie.* Artykuł odebrany i wkrótce zrobimy z niego użytek. Honorarium po wydrukowaniu zostanie przesłane.

*Panu Wł. K. w Krakowie.* Łaskawi czytelnicy, nadsyłający nam niekiedy materiały literackie i rysunkowe, czynią to zwykle bez pretensyi autorskiej, zostawiając nam stosowne obrobienie przedmiotu. Przypuszczaliśmy to samo i o pańskiej przesyłce, którą otrzymaliśmy bez bliższych objaśnień. W każdym razie nie mieliśmy zamiaru dotknąć niczyjej miłości własnej, ani myślimy iść za przykładem owej sroki w bajce, mając jeszcze, dzięki Najwyższemu, dość gęste piórze własne.

a upojony t6m powodzeniem, posun6ł si6 dalej i Lupullego w Jassach osadził.

Siedmiogrodzianie jednak zebrawi si6 nanowo i po6czyli si6 z Wołosz6, a gdy Tymoszko, d6ż6c do Targowiska, przeprowadzi si6 przez rzek6 Jalomiz6, napadli na niego i tak6 mu zadali kl6sk6, że zaledwie w 1200 koni manowcami i lasami uciekł na Ukrain6, 6cigany ci6gle przez jazd6 siedmiogrodzk6, któr6j przywodził Polak Kondracki.

Lupulli, dowiedziawszy si6 o t6j kl6sce, zn6w z żon6 i dzieciami przeni6sł si6 do Soczawy i tam si6 obwarował. Z niemi razem udała si6 tam nieszczęśliwa Irena, żona Tymoszka; ale ci6n tylko został z t6j niegdys tak pi6knej i swobodnej dziewczycy. Życie szybko z ni6j uciekało, nieżałowane nawet przez bi6dn6 ofiar6 dumy i chciwości. Jedna tylko matka była osłod6 j6j cierpi6n.

Rakocy, przewiduj6c że Chmielnicki zechce powetować kl6sk6 syna i wiedz6c że sam mu nie podola, wysłał posł6w do Jana Kaźmirza, z prosz6 o pomoc i z przyrzeczeniem że sam wystawi 30,000 wojska. Jednocześnie przysłał tam i Chmielnicki pułkownika swego Antona, bł6gaj6c o litość.

Rozumi6 si6 ze odpowiedziano, iż dla tych co tylokrotnie łamali najswi6tsze zobowi6zania, ni6ma litości, a tymczasem dano pozwolenie Dymitrowi ksi6ciu Wiśniowieckiemu, oczekuj6cemu z wojskiem pod Zbarażem, aby si6 po6czył z ksi6ciem siedmiogrodzkim i hospodar6m wołoskim. Młodzieniec na to tylko oczekiwał; on sam o trzy mile od Zbaraża, a regimentarz Jaskulski pod Lińcami porazili Kozak6w i pośpieszyli pod Soczaw6, gdzie los wyprawy miał si6 rozstrzygn6c.

Jednakow6ż nim tam Polacy zd6żyli, Tymoszko w kilkaset koni potrafił ich uprz6dzić i zamkn6ł si6 w Soczawie. Stary Chmielnicki, nic nie zyskawszy w Polsce, udał si6 z bł6galn6 prosz6 do Porty, by zabroniła ksi6ciu siedmiogrodzkemu dobywania tego miasta. Musiał dobrze zlotem obł6żyć t6 prosz6, bo wydany został firman paszy sylistryjskiemu, aby szedł obł6żonym na pomoc.

Jakk6lwiek wszystkim oblegaj6cym zależało na t6m, żeby uprz6dzić pomoc tureck6 i dobyć Soczaw6, najdzielniej jednak sprawi6ło si6 wojsko polskie. Ksi6ż6 Dymitr wiedział że żona Tymoszka, jego żon6 juź być nie może, ale chciał przynajmniej wyrwać nieszczęśliw6 ofiar6 z r6k czlowieka, u któr6go zbrodnie i okrucieństwa były najmilsz6 codzienn6 rozrywk6. Nie przewidywał że wyrok Boskie nie dozwol6 mu i t6j pociechy. Pewnego razu, przywodzi6c jednemu z licznych szturm6w, ksi6ż6 spostrzegł Tymoszka na wałach zamku wydaj6cego rozkazy; wtedy wlasn6 r6k6 nakierowawszy kolumbryn6, kazał lont tlej6cy do za-

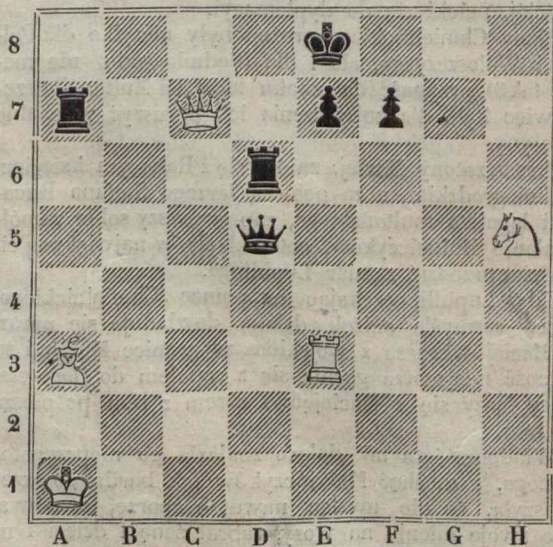
## SZACHY.

ZADANIE CXXXIX.

(J. B. z Grodna).

Białe zaczynaj6 i daj6 mata za czwart6m posuni6ciem.

Czarne.



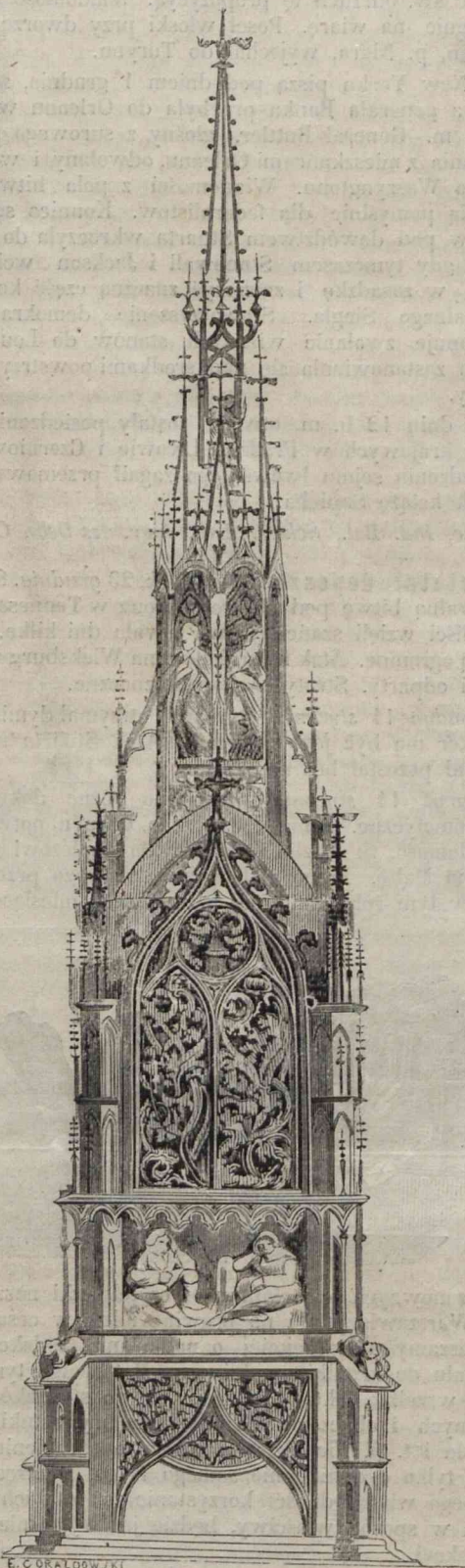
Białe.

Rozwi6zanie zadania szachowego Nr. 138.

Białe.

Czarne.

- |                                |                     |
|--------------------------------|---------------------|
| 1) G 2 — B 7 bior6 + . . . . . | 1) A 8 — B 7 bior6. |
| 2) H 5 — F 3 + . . . . .       | 2) G 3 — E 4.       |
| 3) F 3 — E 4 bior6 + . . . . . | 3) B 7 — A 6.       |
| 4) A 4 — C 5 + . . . . .       | 5) A 6 — B 6.       |
| 5) E 5 — D 7 + . . . . .       | 5) B 6 — A 5.       |
| 6) B 2 — B 4 + i mat.          |                     |



Lit. a. Gr6b Chrystusowy w kościel6 Panny Maryi w 6wiko-  
wie, dzieło sztuki rzeźbiarskiej przypisywane Witowi Stwo-  
szowi. (Rysował z fotografii Polkowski).



Lit. b. Jedna z gł6w umieszczonych na tym grobowcu.

pału przył6żyć. Strzał si6 rozległ i Tymoszko padł na wałach: kula urwała mu nog6 przy sam6m biodrze.

Strata Tymoszka wielk6 trwog6 rzuciła mi6dzy obł6żonymi, z któr6j korzystaj6c, wysłano do Soczawian Machowskiego, z wezwaniem aby si6 poddali pod nast6puj6cymi warunkami: 1) Że wszyscy w zamku b6d6cy kr6lowi wierność przysięgn6. 2) Że wybrane przez Tymoszka podatki dostan6 si6 wojsku. 3) Że wszystkie skarby Lupullego przejd6 na wlasność nowego hospodara. 4) Że hospodarowa ze wszystkimi białogł6wami i ze wszystkimi swemi rzeczami wyjechać b6dzie mogła gdzie zechce.

Warunki te Hawdarenko w imieniu wojska kozackiego zaprzysięgł, a Machowski podpisał, i niebawem bramy Soczawy otworzono oblegaj6cym.

Gdy ksi6ż6 Dymitr, na czele swych hułców, wjezdzał do zamku, w jednej z gł6wnych jego izb ustawione były dwa katafalki: na jednym spoczywały zwłoki Tymoszka, na drugim żony jego, nieszczęśliwej Ireny.

Nie wiedz6c nawet o t6m, że ten co j6j serce pozyskał znajduje si6 pod murami miasta, gasta bi6dna powoli w cierpi6niach piersiowej choroby, aż uderzyła dla ni6j ostatnia godzina, na kilka może chwil przed zgonem Tymoszka.

Ksi6ż6 Dymitr dopiero przy wjeździe do zamku dowiedział si6 o t6m. M6żkie jego serce zniosło dotkliwy ten cios bez skargi; boleść jednakże wewn6trzna tak dalece oddziałała na organizm, że podług ówczesnych pamiećnik6w ci co najlepiej go znali, poznawać go nie mogli.

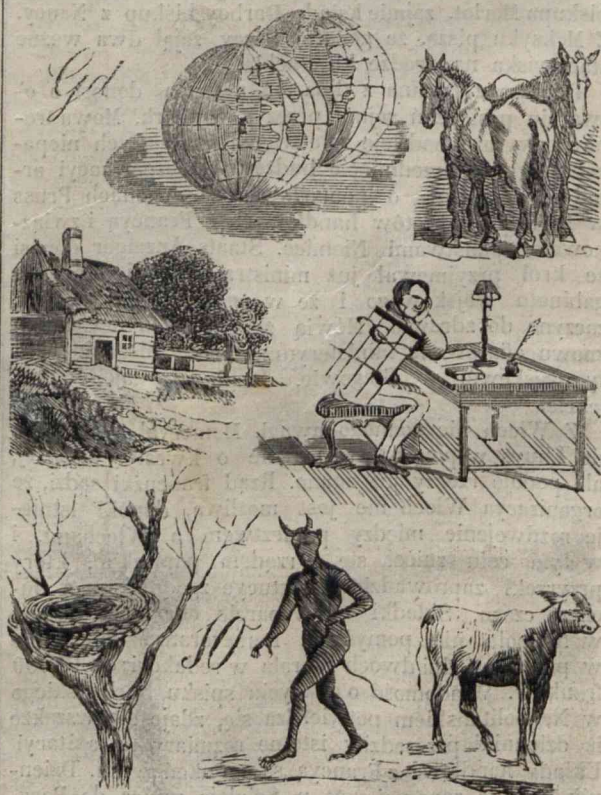
Żona hospodara multańskiego, pogrzebawszy zwłoki córki w Soczawie, wyjechała do Jass; wyszli także i Kozacy, zabrawszy z sob6 zwłoki Tymoszka. Stefan zasiadł stołek hospodarski multański, a poprzednika swego Bazylego, zwyczajem w historii Multan i Wołoszczyzny cz6sto praktykowanym, w kajdanach do Konstantynopola odesłał.

Tak si6 skończyła wojna o hospodar6wn6, która, jak widzieliśmy, wiele Polsk6 ofiar i krwi kosztowała, a przyniosła ten tylko pożytek, że najstraszniejszy j6j wr6g, Chmielnicki, nie dopi6ł swoich zamiar6w i nie zagarn6ł Multan i Wołoszczyzny.

Dymitr ksi6ż6 Wiśniowiecki dostapił pot6m najznakomitszych w kraju godności. W r. 1658 został strażnikiem wielkim koronnym, w r. 1669 wojewod6 belzkim, w r. 1678 hetmanem polnym koronnym i wojewod6 krakowskim, a w ostatku kasztelanem krakowskim. Ożenił si6 z Maryann6 Zamojsk6, siostr6 Marcina podskarbiego wielkiego koronnego. Całe życie jednak obchodził 6cisłym postem dzień, w którym wjezdzał jako zdobywca do Soczawy, trafił na pogrzeb t6j, którą ofiar6 wlasnego życia chciał ocalić.

Antoni Wienarski.

## REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 172.  
Koci6t garnkowi przygania, a sam smoli.